

Edward Ligocki



ECHA
Z MARTWEGO
DOMU



Edynburg 1942. Nakładem Autora

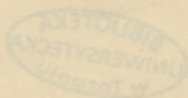


EDWARD LIGOCKI

ECHA
Z MARTWEGO DOMU

Edynburg 1942
Nakładem Autora

THOMAS NELSON AND SONS LTD
LONDON EDINBURGH PARIS MELBOURNE
TORONTO AND NEW YORK



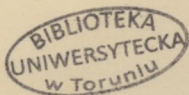
EDWARD LIGOCKI

ECHA
Z MARTHWEGO DOMU

Edyburg 1942
Nashden Autors

THOMAS NELSON AND SONS LTD
LONDON EDINBURGH FARM MILBOURN

By permission of the Polish Military Authorities
L. dz. 1601/Prop./II—C/41.



AE

138964

ECHA Z MARTWEGO DOMU

Zdawałoby się, że potworność przeżyć polskiego ogółu i katastrofa II. Rzeczypospolitej winny były otrzeźwić umysły i zahartować serca — zbudzić nie tylko to, co było najlepsze w narodzie i trwało na dnie sumień ludzkich — ale i natchnąć jakimś żdźbłem samokrytycyzmu, poczuciem godności i dostojeństwa cierpienia.

Niestety, tak nie jest. Budzą się »potępieńcze swary«, tak dobrze nam znane z okresu emigracji polistopadowej. Przerażliwe, nieokiełznane pieniactwo podnosi swój kaduceusz upicki. Stosy papieru zasmarowuje się byle czem. Świadczy to jedynie, że w tyglu katastrofy dziejowej liczne zastępy ludzi niczego się nie nauczyły i o niczem nie zapomniały. Jeśli się tak działo w Paryżu — to można było jeszcze, od biedy, starać się to wytłumaczyć rozpolitykowaną atmosferą Francji i tem złudzeniem bezpieczeństwa, które wywoływała owa »dziwna wojna« — la guerre étrange — w zdeзорjentowanych całym kalejdoskopem wrażeń umysłach. Jednakowoż druga gorzka lekcja historii, druga katastrofa, którąśmy przeżyli w pamiętnym czerwcu 1940 roku winna była nareszcie kubłem zimnej wody lunąć na łby owych narcyzów, zapamiętałe i zajadle broniących szczątków swojej pseudowielkości. Rozdeptane purchawki znów zaczynają pęcznieć i puszyć się

tam, gdzie już, zdawałoby się wreszcie, miejsca niema na żadne wrdne błazeństwo.

Są tematy, do których podchodzi się z obrzydzeniem, z wysiłkiem — li tylko w poczuciu obowiązku pisarskiego — by kiedyś, w przyszłości, pozostało świadectwo, że ktoś wskazał wręcz zło i nazwał je po imieniu. Że w pstrem środowisku »z ziemi ojców przez wroga wygnanych« krzewił się nietylko tupet podstępnego przeinaczania prawdy, uporczywego wbijania w mózgi zgranych sloganów legend fałszywych i wydobywania na powierzchnię mętów najgorszych — ale i odwaga powiedzenia zaciętrzewieńcom wszelkiego autoramentu niemilej prawdy, dyktowanej poczuciem godności narodowej i żywej, niestłamszonej jeszcze na amen tradycji wielkości naszej i dziejowego posłannictwa. Wszak nietylko zapisali się w naszej historii Łaszczycy i Zebrzydowscy, Sicińscy i Ibusie Ostrowscy — ale i ludzie, wzory Modrzewskich, Skargów, Krasieńskich i Zdziechowskich noszący w sercach.

Chcę tu pisać o książce, noszącej zgoła nieuzasadniony tytuł »Historja Polski 1918-1939«, pióra p. St. Mackiewicza.

Trudno jest pisać o rzeczy, która przedewszystkiem jest zbędna. Niedość jest ograniczyć się do powiedzenia, że byłoby stokroć lepiej, gdyby nie ujrzało jej światło dzienne. Notuję więc na wstępie, że uważam tę publikację za szkodliwą zgruntu, i to z wielu powodów. Wydanie jej stanowi w moich oczach haniebną fakt w okresie anabazy dzisiejszej — zwłaszcza, że niejedni złapie się naiwnie na tytuł »Historja Polski«, sądząc, że z tych kartek spłynie ku niemu powiew dalekiej, za morzem ognia i krwi ciężko dyszącej ziemi ojczystej. A jeśli kupi za owe 8/6 net — to przeczyta. A jeśli przeczyta, to zimno mu się zrobi na myśl, że tak ta Polska może wyglądać w oczach człowieka, który bądź co bądź, posłował, i zabierał głos w spra-

wach dla kraju ważnych, niemalże dzień w dzień na łamach sporego dziennika. Który winienby znać prawdę tę Polskę — a był przecież za nią współodpowiedzialny, i to w większej mierze, niż inni, gdyż miał i mandat poselski, i większe możliwości, a co za tem idzie, i większe obowiązki. Rzecz jest o tyle cięższa, że autor został wyróżniony i zaszczycony mandatem Rady Narodowej. Ale o tem później.

Przedewszystkiem, książka ta jest czynnikiem jątrzącym. Wywołuje ona z grobów — z tego wielkiego mogilnika, którym jest Polska dzisiejsza — mnóstwo rzeczy upiornych, rzeczy przedziwnie gorzkich, o których jakoś mniej się myślało podczas długich szkockich nocy bezsennych. Rzeczywistość wojenna przesłoniła nam jednak, mimo wszystko, ową niedawną rzeczywistość zmierzchu II. Rzplitej, z takim zaciętym, maniackim i »samodurskim« uporem prowadzonej przez grabarzy jej na manowce. Przyszli, choć kraj się od nich otrząsał, zaleli krwią polską ulice Warszawy, po tysiącach trupów doszli do władzy. »Wyzwoleńcy na forum«. Pokazali, co byli warci, doprowadzili do katastrofy, jakiej świat nie widział, wybrali sobie wodza, gnuśnego w czasach burzą grożących i śmigłego w odwrocie. I poco p. Mackiewicz, współtowarzysz i konfident tych ludzi, a nawet i admirator niektórych, odważył się znów poruszać to wszystko, sięgać aż do mętów najgłębszych tej kadzi, którą nam kiedyś tak proroczo wskazał Wyspiański, wywoływać widma, prowokować nieuniknione i tak bardzo zrozumiałe reakcje? Napewno nie postawił sobie pytania, które rzuciłem kilka lat temu na łamach »Kurjera Warszawskiego«:

»Kto nas zastał NARODEM? Kto zostawił TŁUMEM?«

Wprost przeciwnie nawet. Autor tej jakoby historycznej książki gdzieś »zgubił Naród polski«, jak wyraził się w rozmowie ze mną jeden z wybitnych

prawników naszych. Mówi tylko o ludziach. Rozprawia się wprawdzie z pewnymi osobnikami, ale przede wszystkim z tymi, którzy w sposób dotkliwy zaleli mu sadła za skórę. Mówi tylko o ludziach. Mówi o grupach — i wszystko znów sprowadza do roli jednostek. Przypomina typowego »klienta« radziwiłłowskiego z XVIII wieku, który szedł w ogonie dworzan i famulusów JO. Wojewody wileńskiego i patrzył na wszystko przez zaściankowe szkiełka, nie wyobrażając sobie nawet, że naród jest jednak czemś innym aniżeli konglomeratem kilku skłóconych grup, stawiających na pana wojewode, pana generała ziem ruskich, księdza prymasa, pana podkanclerzego, czy kogo tam wreszcie. Jest to typowe rozumowanie zaściankowego szlachetki, sprowadzającego cały przerastający go o głowę kompleks do problematu — pan marszałek i pan prezes — idącego za pierwszym, bo przecież do klienteli jego należy — ale i kłaniającego się w pas temu drugiemu, gdyż ten pierwszy z tym drugim się liczy.

A w rozumowaniach swoich zapomina o jednym — o nierówności partji — o tem, że pierwszy narzucił się narodowi i ciążył na tym narodzie kamieniem — podczas gdy ten drugi, pragnący narodowi służyć, szedł jak kamień na dno. I że w tem świetle ten drugi miał kolosalny prymat moralny, wypływający właśnie z poczucia służby, w przeciwstawieniu do ambicji władztwa.

Powiedziałbym tu nawet nawiasem, że ta ambicja władztwa byłaby może uzasadniona, gdyby Naród polski składał się li tylko z ludzi, mających mentalność autora owej rzekomej »Historji Polski«. Ale na szczęście tak nie było. Naród polski był bez porównania bardziej europejski, mimo idącego od góry tołstojowskiego niesprzeciwiania się złu i tych stygmatów bizantyjsko-wschodnich, którym tyle umysłów poddało się bezkrytycznie. I tu właśnie dochodzimy do

rzeczy istotnej — do bizantyjskości, czy też do posmaku dostojewszczyzny w książce, o której mowa.

Dostojewszczyzną jest grzebanie w ranach. Dostojewszczyzną jest rozprawianie o rzeczach bolesnych i dla honoru narodowego niezwykle ciężkich — i to w czasach, gdy nowa naręcz udreki wali się wszystkim na głowy i rozbija serca. Dostojewszczyzną jest okrucieństwo w stosunku do czytelnika, sadyzm zmuszania go do nawrotu do tych potwornych, koszmarnych faktów, które oby Bóg kiedyś wydarł z pamięci polskiej na zawsze. Dostojewszczyzną jest wreszcie wywóczenie na forum publiczne, i to na ziemi obcej, faktów, które każdy szanujący choć trochę swój naród i samego siebie Polak pragnąłby ukryć jaknajgłębiej, na zawsze, i nie odsłonić za żadne skarby.

Jest to nawet czemś więcej, aniżeli dostojewszczyzną: jest to wykroczeniem obywatelskiem. Jest to rzeczą nad wyraz obosieczną w skutkach, gdyż w niejednym słabszym umyśle mogącą wywołać zgoła nieoczekiwaną zapewne przez zacierzewanego autora reakcję: poderwać wiarę w charakter narodowy — wyolbrzymić plamy bez naświetlenia rzeczy wielkich i szczytnych, takich, dla których żyć warto. Jednem słowem, wpłynąć na zdrowie moralne armji.

Zapewne, armja ostała się i ostanie, pomimo gadaniny sabotażystów i pomimo gorzkich lamentów różnych dakryjek pośledniego autoramentu, skarżących się żałości, że modły do św. Stanisława Kostki nie uchroniły ich od Kostków, kwiatków najwonnieszych ogródka belwederskiego. Dakryjki były jednakowoż istotami płci słabej, i wolno im było jęczeć i płakać. Dakryjek nikt nie mobilizował i nie powierzał im funkcji oficerów kawalerji.

Dorzucę tu drobną notatkę na marginesie. Kiedy nas kilkunasu, ze Sztabu Hallera, z Izydorem Modelskim

na czele, wypuszczono z więzienia po zabójstwie śp. Gabryela Narutowicza — dokąd różni Anusze wpakowali nas Bóg raczy wiedzieć dlaczego — ś. p. Stefan Żeromski podszedł do mnie w »Astorji«, uściskał mnie i głosem silnym i grzmiącym rzucił trzy ważkie słowa: »Dranie! Łajdaki! Czrezwyczajka!« Świadków było kilkudziesięciu.

Rzucił te słowa w Warszawie, w środowisku wyłącznie polskiem i nie wydrukował nigdy nic takiego, co mogłoby być skwapliwie podchwycone przez różnych najserdeczniejszych. Dirty linen is not washed abroad.

Daj Boże, by nie znalazła się jakaś niepowołana praczka wśród obcych, skłonna do wykorzystania tłomoka wspomnień, niezgubionego niestety przez p. Mackiewicza między Angers a Liverpoolem. Zimno się robi na myśl, że jedna niefortunna książka wyrzucić może szkodę ogromną — jak ta przysłowiowa skórka pomarańczy, rzucona pod nogi śpieszącemu ku przeznaczeniom szczytnym człowiekowi. Przecież chodzi tu o ten szacunek, który zyskaliśmy wśród obcych, o tę miłość, o ten nimb żołnierski, który tysiące mogił polskich, setki tysięcy mogił rozżarzyły wśród naszych sprzymierzeńców. Jeden drobny napozór nietakt szukającego taniej sensacji dziennikarzyny mógłby tu stać się bombą kruszącą. Wystarczyłoby podanie w odpowiednim sosie przekładu kilku najniezszczęśliwszych stron książki p. Mackiewicza, opowiadającego z łezką liryczną, kto pod znakiem »B« — tak harmonijnie zgranym z BB — w obozie i w fortecy zmalucił się i skuracił, mimo że miał mundur oficerski na grzbiecie. Ten mundur, który trzeba było w krwi wyprać, by znów stał się zaszczytnym.

To, co byłoby jedynie świadectwem wartości moralnej pod piórem jakiegoś Martela, czy Brinona, to, co byłoby nietaktem w ustach jakiegoś obcego demagoga — staje się przestępstwem, gdy para się tem Polak,

obywatel walczącego Państwa, miażdżonego dzień w dzień, chwalać się w dodatku, że jest oficerem rezerwy (niezmobilizowanym w dzisiejszych warunkach...)

Czy fakt napisania i wydania książki, nazwanej »Historją Polski« nie podpada pod artykuł 100 KK.? Działanie na korzyść nieprzyjaciela przez naszczuwanie jednych współobywateli przeciwko drugim jest tu wyraźne — ktoś, kto chciałby obrzydzić naród polski nie potrafiłby działać w sposób bardziej perfidny — i przez to samo walić taranem w zwartość i jednolitość Armji, podkopując morale wojska i podgryzając korzenie wiary w to wszystko, co w ciągu lat tysiąca stworzyło wielkość istotną Polski.

Książka p. Mackiewicza jest dowodem, że absolutna wolność słowa istnieć może li tylko w głęboko cywilizowanych społeczeństwach, gdyż dla autorów tego typu potrzebna jest niestety, tempore belli cenzura prewencyjna.

*

* *

Wszystko to jest bezgranicznie smutne, bardzo nie na miejscu i trzeba się z tem twardo i bezwzględnie rozprawić, bez względu na to, czy się to komu podoba, czy nie. Trzeba zaprawdę jakiegoś prymitywu intelektualnego, by nie dostrzedz całej obrzydliwości, całego tupetu zakłamania moralnego, politycznego i historycznego, które p. Mackiewicz wali na stół, jak stare, wygodne i mocno strupieszające po długiej wędrówce po śmietniku pantofle. Stały mu się one zresztą mało potrzebne od chwili gdy »przystał siedzieć w pierwszym rządzie«, jak mówi. Chodzi dziś, utykając srodze, w mocno niedopasowanych koturnach.

Il faut être un primaire, by przypuszczać, że ogół polski w WBrytanji i innych krajach, dokąd rzuciły nas

losy, strawi spokojnie ową karykaturę pokarmu duchowego. I to właśnie napawa największym obrzydzeniem, że autor, z uporem otumanionego przez książki Tołstoja prawosławnego seminarzysty, pakuje wszystko do wspólnego worka, i spostrzeżenia słuszne, czy nawet zgruntu prawdziwe i mające posmak rzeczywistego ideału — i komunały, i wyświechtane miedziaki przedwojennej propagandy, i najwierutniejsze fałsze, i najwstrętniejsze, niegodne napisania językiem Kochanowskiego i Skargi, goebbelsowsko-politpredowate argumenty. Część ich wyliczę niżej — a tymczasem notuję, że i z owym językiem polskim też nie jest najlepiej. Oto najbardziej soczyste przykłady:

»Rządzenie zaniedawalnia«. (str. 190.) Konia z rzędem temu, kto zrozumie bez komentarza, że ma to znaczyć, że każde rządzenie wywołuje odruchy niezadowolonia. »Kontrasygnata była jakgdyby nićmi, które wiązały«, etc. Jedno z dwojga: albo »kontrasygnata była nicią«, albo »kontrasygnaty były nićmi«. (str. 232.) »Kraj jest ciągle poinformowywany« (str. 302.) Korekta też miejscami pozostawia do życzenia — jak np. na str. 103 traktat »wersalski« gdzie powinno być »westfalski«, etc.

Dlaczego jednak książka ta tak bardzo »zaniedawalnia« czytelnika, mówiąc stylem autora? O co mu właściwie chodzi?

Jednym z motywów jej napisania jest oczywiście chęć »wybielenia się« w warunkach politycznych współczesnych, bez ostatecznego zerwania jednakowoż z epigonami poprzedniego reżimu. Raz autor tej książki podkreśla, że jest cierpiętnikiem z Berezy — a w innym miejscu zaznacza, że jest i był piłsudczykiem — a więc przez to samo współodpowiedzialnym moralnie za losy Polski od maja 1926 do października 1939 — nie mówiąc już nawet o tem nieprawdopodobnie ciężkiem poczuciu brzemienia winy, które, zdawałoby się, nękać

chyba musi nawet najbardziej tępych, mimowolnych, czy biernych sprawców powszechnego nieszczęścia. A więc i djabłu świeczkę, i Panu Bogu ogarek.

Znam innych, rzetelnych piłsudczyków. Nie zapierają się oni swej przynależności partyjnej i nie chwają się krzywdami, które niejednen znieść musiał od swoich. Niektórzy z nich noszą dziś nawet odznakę I. Brygady, tak jak my nosiliśmy odznakę II-giej, Miecze Hallerowskie, czy krzyże Dowbora za czasów ich władzy. Ci piłsudczycy rzetelni milczą, nie opowiadają, na prawo i na lewo, co ich samych kłuło w oczy napewno, a nawet i bolało, i to niejednokrotnie. Można szanować przeciwnika, który jest konsekwentny, zachowuje godność ludzką i godność ugrupowania i we własne gniazdo nie pluje. Widziałem takiego, znakomitego zresztą artystę malarza, którego najbliżsi koledzy okrzyknęli publicznie złodziejem, a który zacisnął zęby, milczał, i wreszcie swój honor ludzki obronił, nie powiedziawszy ani jednego słowa publicznie przeciwko tym, którzy go tak ciężko skrzywdzili. Poprostu dlatego, że byli to ludzie z pod tego samego znaku.

Jakże trzeba natomiast traktować takiego outsider'a generalnego, głoszącego, że jest piłsudczykiem, jak p. Cat, obyczajem kocim usiłującego spaść na cztery łapy. Drapuje się on w togę udawanej bezstronności. Trudno wziąć się na takie plewy — a jednak mówić o nich trzeba, niestety, jak mówi się naprzykład o ściekach miejskich, gdy zachodzi obawa chorób zakaźnych. Zwłaszcza, że w danym wypadku mowa nie o jakimś poszczególnym przymiocie, a o próbie wywołania wojny bakterjologicznej w środowisku polskim na obczyźnie.

Chodzi tu poprostu o nowy zastrzyk serum legendy majowej w udoskonalonem wydaniu, z zachowaniem pozorów narodowej cnoty, obyczajności i bezstronności.

*

* *

Tu właśnie dochodzimy do momentu, w którym szkodliwość omawianej książki uwypukla się tak wyraźnie. Uzasadnienie tego twierdzenia wymaga komentarza.

Zapewne, trudno jest komuś nieprzygotowanemu do roli historjzofa, czy nawet zwykłego, sumiennego kronikarza historii, kusić się o laury na tem polu, jak to widzimy na przykładzie książki p. Mackiewicza. Zwłaszcza, że nie orjentuje się on zupełnie w kwestji zasadniczej — a mianowicie, czym jest rządzenie państwem i jakie obowiązki spoczywają na barkach tych, którzy rządzą. Niedość jest bowiem nauczyć się na pamięć kilku cytat z *Il Principe* i przemłócić, bez wyboru, kilkadziesiąt książek. Przeszłość ciągnie się za człowiekiem, jak cień. A przecież p. Mackiewicz żył w samym centrum tego autorytatywnie i tak nierządnie kierowanego organizmu, jakim była Polska ostatnich lat 13.

Rządzić, to znaczy przedewszystkiem służyć własnemu narodowi, w myśl dewizy Jana bez Ziemi, przejętej przez zwycięzkiego Edwarda Czarnego »*Ich dien*«. Człowiek, który nie szanuje własnego narodu, nie może mu służyć, chociażby nawet fanatycznie kochał ziemię, na której ten naród mieszka. Człowiek, który narodem gardzi i wypowiada to publicznie, który nie szanuje jego krwi i który tę krew przelewa, nie jest godzien najwyższego dostojęstwa władzy.

Szef państwa jest przedewszystkiem strażnikiem prawa. Jeśli ono jest złe, to dąży do reform — przestrzega jednak drogi legalnej. Od tego jest — i to jest jego pierwszym i kardynalnym obowiązkiem.

Wypływa z tego wniosek logiczny : jeśli ktoś łamał prawo, jeśli ktoś (sic!) się z tego prawa

publicznie naśmiewał, przyjmując w dodatku doktorat honorowy, jeśli ktoś się ponad prawo wywyższał, jeśli ktoś zabijał, osobiście, czy cudzemi rękami o b r ó c ó w p r a w a — jeśli ktoś odmawiał wpiery przyjęcia władzy, gdy ofiarowywano mu ją legalnie, by w kilka dni później sięgnąć po tę władzę po tysiącu trupów, to wszelka apologia takiego człowieka, niezależnie od jego innych walorów, jest przez to samo apologią bezprawia, apologią przelewania krwi bratniej, apologią amoralności w życiu państwowem i narodowem. Dość przejrzeć dwie horrendalne kartki książki p. Mackiewicza (str. 173 i 174) by zobaczyć, ile perfidji i zakłamania bije z tych krótkich zdań. »D. 12 maja pewne oddziały wojskowe ruszyły na Warszawę. Wyjechał na ich spotkanie Prez. Wojciechowski« i t.d. do końca strony. I to ma być »historja Polski«...

Gorycz wzbiera, naprawdę, gdy autor ucieka się do potwornych argumentów i pisze, że w okresie brzeskim ofiar życia ludzkiego nie było, że w zamachu majowym padło zaledwie tysiąc ludzi (więcej!) — i że w zestawieniu z zawrotną liczbą ofiar Hitlera i in. jest to procentem mizernym.

Jakiem prawem moralnem p. Mackiewicz zestawia Polaka, który bądź co bądź rządził Polską, z krwawymi katami ludzkości, podkreślając, że znacznie, bez porównania mniej ofiar miał na sumieniu? Dlaczego p. Mackiewicz wyrządza taką potworną krzywdę człowiekowi, który wprawdzie był w naszych oczach pełen winy i grzeszny, ale którego jednak w tym szeregu potworów stawiać nie wolno, pod żadnym pretekstem, pod żadnym pozorem. Nie warto tu nawet mówić o poczuciu taktu — jest to dla autora t. zw. »historji« terra i g n o t a. Mówię o prymitywnem poczuciu obowiązku zostawienia w spokoju kogoś, kto leży w grobie i o kim lepiej nie mówić w naszych warunkach, gdy każde słowo mogą podchwycić obcy. I właśnie p. Mackiewicz

zmusza innych do pisania o rzeczach, o których się nawet myśleć nie chce. Opowiada, zupełnie niepotrzebnie, o Brześciu i Berezie — i jakby się dziwi, że te rzeczy istniały. Co za naiwność — rzecz prosta, że istnieć musiały — zasiał je maj 1926 roku. Chwila potworna, chwila, która zemściła się potem straszliwie i doprowadziła ostatecznie do września 1939 roku.

Nie sposób pisać tu rozprawę historyczną — dość streścić kilka zasadniczych punktów. Bezprawie siebie bezprawie. Ambicja władztwa, w epigonach danej grupy, sieje ambicję władztwa. Poczucie bezkarności popycha do czynów, których nie popełnionoby, gdyby istniała obawa kary. Wywyższanie siebie popycha innych do analogicznego wywyższania się, gdy się sposobność nadarzy. Brak samokrytycyzmu, brak poczucia służby wywołuje w otoczeniu te same wady. Dyletantyzm i tolerowanie dyletantyzmu sprzyja rozpychaniu się łokciami, daje zarozumiałym jednostkom tupet porównania się na rzeczy, przewyższające ich możliwości, etc.

Sięgnijmy do przykładów.

Z Polski, mającej zamało broni, wywożono masami broń do obu Hiszpanji, do Bułgarji, do Chin, Bóg wie wreszcie gdzie. POCO? Gdyż dawało to możliwość utrzymania szkodliwego w gruncie rzeczy, sztucznego kursu złotego, wykazywało rzekomą genialność w rządzeniu finansami Państwa — a w dodatku dawało możliwość szybkiego bogacenia się zaangażowanym w te transakcje jednostkom. Trudno zaprawdę wymyśleć większy *crimen* — wywozić broń, samoloty i amunicję z niedostatecznie uzbrojonego kraju, w obliczu grożącej wojny, a w dodatku jeszcze chwalić się, że Bułgarja ma większą część sprzętu wojennego fabrykacji polskiej. Chcę jednak być optymistą — przypuszczam, że byli to poprostu ludzie, którzy nie wiedzieli, co czynią, i powodowali się li tylko rozumowaniem niekoniecznie skrupulatnych kupców. Być może, że

otumanieni byli sloganem mocarstwowości i że w naiwności ducha mogli być przekonani, że Polskę stać na podobny luksus, jak zbrojenie innych. Ale gdzie był rząd, który to tolerował, a nawet i popierał? Kto był za to odpowiedzialny? Minister Skarbu, minister Spraw Wojskowych, czy GISZ? Czyjeś zezwolenie musiało zadecydować, poza opiniami 18, dosłownie osiemnastu komisji, przez które przechodziły transakcje z zagranicą.

Inna kwestja, jeszcze bardziej skomplikowana i mniej w rozpiętości swojej dostępna dla mało poinformowanego ogółu. Sprawy zagraniczne objął najpierw z rozkazu, a następnie podjął się ich i strzegł zazdrośnie swego władztwa na Wierzbowej płk. Beck.

Mało było zadań równie rozległych i trudnych, jak sprawy zagraniczne Polski. Dyletantyzm musiał się tu zemścić jeszcze dotkliwiej, aniżeli w innych dziedzinach. Co wniósł do pałacu Brühlowskiego p. Beck, jako swój posag osobisty? Pewną znajomość spraw handlowych, zaczerpniętą na studjach przedwojennych w Wiedniu. Pewną praktykę z oddz. II — go — i wreszcie czarny moment z przeszłości — fakt, że na kategoryczne żądanie marsz. Foch'a został on usunięty z attachatu wojskowego w Paryżu. Fakt, w dziejach dyplomacji skandaliczny. Powołanie go na ministra Spraw Zagranicznych było typowem posunięciem »na złość« Francuzom, bez najmniejszego zastanowienia się, ile złego przynieść to musi polskiej polityce zagranicznej wogóle, a na odcinku paryskim w szczególności. Niewolno było w tych warunkach powoływać p. Becka na to stanowisko, niewolno było jątrzyć — i niewolno było p. Beckowi podejmować się tego zadania.

Gdybyż jeszcze p. Beck był geniuszem! Opowiadano o nim, że jest niezwykle zręcznym tancerzem na linie, zawieszonej między Berlinem, a Moskwą. Na to jeszcze można się od biedy zgodzić, zważywszy, że

utrzymał się na tej linii długo i nie skręcił karku przed katastrofą ogólną, do której prowadził Polskę. Zadziwiająca była, w rzeczy samej, jego ekwilibrystyka osobista i utrzymanie się na Wierzbowej, mimo, że sprawy zagraniczne szły innemi drogami, aniżeli on sobie to wyobrażał. Mówiono, że wszystkie tajemnice genialnej polityki p. Becka tkwią w jego prywatnym portfelu. Rzeczywiście, nikt nie wiedział, co p. Beck myśli i co zamierza. Była to jednakowoż legenda, gdyż w portfelu, oprócz banknotów, nie było nic wogóle, a minister szedł od wypadku do wypadku, bez żadnego programu.

Rządziły nim trzy zasadnicze niechęci : 1) do Francji, 2) do Czechosłowacji, 3) do Sowietów, i wreszcie — kompleks niższości w odniesieniu do Niemiec — niepełny wprawdzie, gdyż dochodziło do tego rzadkie zarozumiałstwo i przeświadczenie, że on, Beck, nabije wszystkich w butelkę — podczas gdy w rzeczywistości nabito w butelkę jego samego, razem z jego sławnym tajemniczym portfelem spraw zagranicznych. I byłoby bez porównania gorzej, zarysowałyby się jakaś mussolińszczakowata quislingiada, gdyby w r. 1936 czynniki wojskowe polskie w porozumieniu z czynnikami wojskowymi francuskimi, nieuratowały polsko-francuskiego przymierza poza wiadomością p. Becka, nad jego głową, a nawet i ku wielkiemu rozżaleniu jego i jego kliki. Przymierze to było już wówczas zsabotowane, wisiało faktycznie na włosku i uratowane zostało d. 4 marca 1936 roku. Ale o tem jeczczé mówić nie pora, aczkolwiek odnośne dokumenty istnieją ¹⁾ i o dokładnie poinformowanych świadków nietrudno.

¹⁾ Pokwitowanie z d.5.X.1940 nr. 59 (Arch. B. Hist. Sztabu N.W. 40).

Przed 4 marca sytuacja była następująca : stosunek z Francją fatalny, stosunek z Sowietami nielepszy, olbrzymie możliwości pozytywnego kontaktu z Czechosłowacją zabagnione i odepchnięte świadomie, stosunek z Niemcami kwaśno-słodko-niedołęźnie chytry, flirt z Palazzo Venezia ostentacyjny — a pozatem zera i minusy na szachownicy.

Splendid isolation — bajka o mocarstwowości — a jednocześnie takie mnóstwo atutów w rękę ślepego dyletanta... Innemi słowy — Polska nie miała żadnego programu wogóle w polityce zagranicznej, za którą p. Beck był jednakowoż odpowiedzialny i przed Narodem, i przed Historją. Oficjalna polityka polska zadzierała ze wszystkimi, była korkiem na fali i nie miała nigdzie oparcia. A w międzyczasie ajencja PAT chwaliła się, że Goering, w maju 1935 roku, poszedł sobie bez eskorty w Krakowie do Hawelki. Risum teneatis...

Uratowanie przymierza z Francją dało wreszcie ten punkt oparcia, zwłaszcza w odniesieniu do spraw wojskowych, ale nie wyrównało zgrzytów, nie otworzyło możliwości ekonomicznych. P. Beck powinien wtedy być odejść — tylko to mogło bowiem wygładzić sytuację. Przez szereg lat był on najbardziej znienawidzonym człowiekiem w Paryżu. Jego nazwisko doprowadzało ludzi z Quai d'Orsay i z rue Rivoli do białej złości. Powiedział mi to kiedyś zupełnie niewyznacznie p. François Combes, dyrektor departamentu, bratanek osławionego premiera Emila, przyjaciel osobisty Daladier'a ¹⁾). Ale p. Beck trzymał się kurczowo Wierzbowej, mimo, że Polska wychodziła na tem fatalnie.

1) « Fournir des armes à la Pologne — très bien ! Mais où est la garantie que votre Beck ne tourne pas casaque et que ces armes ne soient pas tournées contre nous ? Pas un clou, avant que Beck ne soit délogé. »

Oczywiście, po dogadaniu się w r. 1936 z Francją trzeba było dogadać się z Sowietami, co było wówczas możliwe via kanał paryski. Rzeczą tę jednak p. Beck karygodnie zaniedbał, nie rozumiał poprostu, że chodzi tu nie o jego ambicje osobiste, a o losy Państwa. Był nadal korkiem na fali i nadal dąsał się z dumną miną na Paryż. Siedział nawet na wiosnę 1939 roku przez parę tygodni na Rivierze, skąd pojechał na rozmówki do Berchtesgaden. I oczywiście nie wiedział, że już w maju 1939 parafowany był układ wstępny sowiecko-niemiecki w sprawie rozbioru Polski, który to układ oficjalnie ogłoszono dopiero w końcu sierpnia. O tym fakcie nasz Sztab Główny był poinformowany.

Bezradność, tępota, dyletantyzm — a nadewszystko bezbrzeżna lekkomyślność, i to w takiej chwili, gdy wiedział już że Hitler sięgnie po Gdańsk i Pomorze. Pan Beck milczał — a zwolennicy jego opowiadają, że chciał »zyskać na czasie« — aczkolwiek nie miał złudzeń, podobno. Jeśli rzeczywiście ich nie miał, to tem gorzej dla niego.

Konieczności dziejowe szły jednak swoją koleją, ponad głowę p. Becka. Zmuszony on został przez te konieczności do pertraktowania in extremis z Wielką Brytanią, co jego krótkowzroczni admiratorzy poczytują mu za wielką zasługę osobistą, zapominając że

1) każdy polski minister Spraw Zagranicznych winien był to zrobić — i że

2) dostał się on do Londynu po moście polsko-francuskiego przymierza, uratowanego wbrew jego robocie i w ścisłej przed nim tajemnicy.

W dodatku gwarancja brytyjska dla Polski spadła dla p. Becka i dla całego MSZ. zupełnie nieoczekiwanie. Odbyło się to w następujących okolicznościach :

21 marca 1939 r. ambasador Moltke złożył p. Beckowi notę, ponawiającą w stanowczej formie żą-

dania Hitlera z d. 5 stycznia tegoż roku : oddania Gdańska i zgody w sprawie autostrady. Było to w tym samym dniu, w którym wręczono Litwie ultimatum w sprawie oddania Kłajpedy. P. Beck uznał wówczas za właściwe rozchorować się i następnego dnia nie stawiał się w biurze. Nie było tam również wiceministra Szembeka, który bawił w jakiejś służbowej podróży.

Do zastępującego obu tych panów min. Arciszewskiego zgłosili się kolejno, d. 22 marca zrana, dwaj dyplomaci : pierwszym był poseł litewski Skirpa, a drugim ambasador W. Brytanji Kennard. Poseł litewski informował o ultimatum w sprawie Kłajpedy i prosił Rząd Polski o radę i pomoc. Ambasador Kennard przybył z oświadczeniem, iż Rząd Jego Królewskiej Mości, w związku z rozwojem wydarzeń w środkowej Europie doszedł do przekonania, że cała polityka szukania porozumienia z Hitlerem zawiodła, gdyż dąży on nieuchronnie do wojny. Licząc się z tem Wielka Brytanja zdecydowała się udzielić gwarancji Polsce i w związku z tem proponuje natychmiastowe nawiązanie rokowań.

Z wiadomością tą p. Arciszewski pojechał do p. Becka, który nagle wyzdrowiał do tego stopnia, iż już tego samego dnia popołudniu mógł uczestniczyć w naradzie na Zamku z Prezydentem Rzplitej i z marsz. Rydzem Śmigłym, którym propozycję angielską przedstawił jako wielki swój sukces. Odrazu też zaczął kręcić. Propozycja angielska zmierzała do osiągnięcia porozumienia czterech państw : Wielkiej Brytanji, Francji, Polski i Sowietów. P. Beck uznał obecność Sowietów w tem porozumieniu za zbytęcną — aby im zaś osłodzić odmowę, wysunął koncepcję dwustronnego porozumienia się Polski i Anglii, rozumując, że Francja jest im niepotrzebna, bo jest i tak związana paktem z Polską i z Sowietami.

Naród nasz zbiera dziś krwawe, męczeńskie żniwo długoletnich rządów p. ministra Becka i towarzyszy, którzy wszystko strwonili — i przeszkadzali jeszcze swymi niefortunnymi pomysłami, gdy wyciągano ku nim przyjazną dłoń. Fakty, wspomniane wyżej, dowodzą czarno na białem, że p. Beck na jednym punkcie zwłaszcza twardy był i niezłomny : opierał się wszelkiemu porozumieniu z Sowietami.

Polityka nieprawdopodobnie krótkowzroczna, fatalna, brzemenna w najpotworniejsze skutki. A tak było łatwo zrozumieć, że Polska nie mogła jednocześnie przeciwstawiać się i Niemcom, i Sowietom, i że w obliczu nieuchronnej wojny z Niemcami musiała prowadzić z Rosją pertraktacje, zakrojone na szerszą skalę, dyktowane rozumem jasnym i chłodnym, w imię racji stanu tak oczywistej, że ją każde dziecko chyba zrozumie.

A tu unikano za wszelką cenę właśnie owego porozumienia z Rosją. Nie opracowywano w Sztabie Głównym warszawskim od r. 1926. aż do śmierci Józefa Piłsudskiego żadnych zadań wojennych, odnoszących się do zachodniego frontu. Wszystko obracało się w obrębie zagadnień frontu wschodniego. Dopiero w ciągu ostatnich miesięcy przed wojną zabrano się gorączkowo do zarysowującej się coraz wyraźniej konieczności wygotowania planów na wypadek wojny z Niemcami. Wiadomo np. że powołana w r. 1938 specjalna komisja zajęła się rozpracowaniem posiadanego przez O. II. materiału, by dojść do konkluzji, kiedy Hitler będzie mógł uderzyć na Polskę? Po sześciu miesiącach żmudnej fachowej pracy komisja ta oświadczyła Szefowi Sztabu, że Hitler będzie gotów w drugiej połowie 1939 roku, po 1-szym lipca. Na to gen. Stachewicz miał złapać się za głowę : »niepodo-bieństwo ! Ja będę gotów dopiero w 1941«.

Informacje te mam od jednego z członków komisji.

Skąd to całe, nastawienie poprzedniego reżimu — skąd to uparte wypatrywanie niebezpieczeństwa ze wschodu, z ciąglem, maniackiem odwracaniem oczu od Niemiec, by wreszcie, po niewczasie, dostrzedz wyraźnie całą grozę zbliżającej się teutońskiej nawały?

Wynika to z owego talmudu rządów pomajowych, którym stały się koncepcje Józefa Piłsudskiego, tak bezkrytycznie przez jego epigonów przyjęte.

Człowiek ten miał typowe nastawienie Polaka z kresów litewskich, pamiętającego rok 1863. Widział on przed sobą świat wschodni i nienawdził go z całej duszy. Wbrew wszelkim pojęciom polskiej racji stanu ludzie tego typu podświadomie uważali państwa centralne za opatrnościowe narzędzia, mogące się przeciwstawić Rosji, a więc ich pragnieniom powolne. Łatwiej im było dogadać się z Niemcem, aniżeli z Rosjaninem — dlatego właśnie, być może, że sami w umysłowości swojej zbyt byli do Rosjan podobni i zbyt przesiąkli dostojewszczyzną, Tolstojem, Niekrasowem, mentalnością charkowską, Bóg wie jaką wreszcie atmosferą »martwego domu«. Niemcy im imponowali — podczas gdy oni sami uważali się za coś nieskończenie lepszego od Rosjan. Innemi słowy, w całym obozie piłsudczyków zaznaczały się dwa zasadnicze kompleksy, wypływające z niedoceny własnego narodu i z wręcz fałszywego sądu o innych: kompleks niższości w stosunku do Niemców i kompleks wyższości w odniesieniu do Rosjan. Nie było tu miejsca na polską rację stanu — a nadewszystkiem domino wało chorobliwe dopatrywanie na każdym kroku otchłani zła we wszystkim, co rosyjskie: było to owo specyficzenie wschodnie, tak doskonale określone przez Dostojewskiego czelowiekonienawistnicze stwo, z ostrzem, zwróconem ku Woldze.

Tem się tłumaczy ów wielki, zasadniczy błąd Józefa Piłsudskiego: zerwanie rokowań borysowskich

na początku 1919 roku i pójście na Kijów. Wojna nieszczęśliwa, zbyteczna, bezsensowna, która kosztowała nas morze krwi, wyniszczyła i zubożyła o światło ery niepodległości i doprowadziła nas ostatecznie do rezultatów tych samych — jeśli nie gorszych, aniżeli te, które mogliśmy osiągnąć już w Borysowie, bez półtorarocznych walk, setek tysięcy poległych i targów w Rydze.

Dziwna zaprawę była natura tego człowieka : miał wszelkie elementy pokoju w r. 1919, odrzucił je i poszedł na Złotą Bramę kijowską — poczem wrócił do tego samego punktu przez kraj zniszczony ogniem i mieczem — przez Radzymin i Nasielsk, gdzie go nie było i gdzie inni krwawym wysiłkiem ratować musieli kraj przed zaturacją niepodległego bytu.

Na mniejszą skalę zrobił to samo w roku 1926 : ofiarowywano mu władzę ; nie przyjął jej, zalał krwią ulice Warszawy — i wziął ją wówczas dopiero, wracając do punktu wyjścia.

Co to było ? Efekty ? Szukanie aureoli bojowej, czy aureoli bojowca ? A gdzie w tem wszystkim sumienie i poczucie odpowiedzialności za losy Narodu, za życie setek tysięcy, milionów ludzi ? Chorobliwa potrzeba stworzenia dla siebie samego legendy silnego człowieka — czy też jakiejś namiętności duszy czyścicowej, nie znającej spokoju i wyładowywującej swoje zapędy w niesamowitych chwytach ? »Ja, Her Armeńczyk, leżałem na stosie, trupem przy niebios jasnej błyskawicy...«

Dziwny człowiek, zaprawę. Jednostronny w umiłowaniach swoich, zaciekły, ciasny, pomiatający godnością Narodu w odruchach nienawiści. Kochany do bałwochwalstwa przez zafascynowanych, wygrywany przez zainteresowanych — ciężki, jak kamień grobowy dla tych, którzy mieli odwagę powodować się własnym sumieniem i być innego zdania. Człowiek o

głębokiem nastawieniu niepodległościowem, wybitnie sentymentalnem, dotknięty jednak tak bardzo głęboko urazem nienawiści do Rosji, że uczucie to zasłaniało mu w myślach problem państwowy. Człowiek, który w swoim czasie gotów był wszystko dla Niepodległości poświęcić — a który jednak, mimo wszystko, nie poznał się na Hitlerze i zostawił swym satelitom fatalny testament polityczny, który z za grobu jeszcze zaważył na odrzuceniu przez Becka d. 22 marca 1939 roku czwórporozumienia W. Brytanja — Polska — Francja — Sowiety.

Drogi, Kochany Generale Tadeuszu Rozwadowski... Ile serca, ile głębokiej mądrości, więźniu Antokolski, kryje Twoja mogiła na cmentarzu Obrońców Lwowa...

A co było początkiem władzy Józefa Piłsudskiego? Legenda. Przejaskrawiona legenda bojów I. Brygady — gdyż były już w tym okresie i inne legendy — Rarańcza, Kaniów, I. Korpus, Murman, Armja polska we Francji. A potem druga legenda, puszczona w listopadzie 1918 roku: Polsce grozi bolszewizm, piorunochronem może być tylko Piłsudski. Gdzie był ten bolszewizm? A jednak w zacności ducha złapali się na ten haczyk trzej Regenci i oddali Piłsudskiemu władzę naczelną. Przegrywali w ten sposób, na długie lata naprzód, skarb Niepodległości.

Gdy mowa o Regentach, nie sposób nie oddać tu hołdu Zdzisławowi X. Lubomirskiemu, który we wrześniu 1939 roku, w wieku już sędziwym, obsługiwał karabin maszynowy. W tym człowieku żył Polak. Wszystko dał Polsce — gdy inni brali od Polski.

Reklamowali się, brali... Rzecz dziwna, że ci genialni reklamiarze, którzy zdołali się tak wywyżżyć, tak rozślawić, tak wydać — nie wydali ze swego środowiska żadnego kontrgoebbelsa. A szkoda — talenty były, dziwnie jednak maniacko wykoszlawione. Służyły one Piłsudczyźnie, nie Polsce. I w tem leżało

tragiczne, gorzkie, fatalne nieporozumienie — które jeszcze w zarodku tenże Piłsudski mógł ongiś przeciąć odrazu, gdyby horyzont miał szerszy, gdyby był mężem stanu i wodzem Narodu, a nie wodzem kliky.

Majowi pogrobowcy... Jaki inny naród, aniżeli nasz, w bezgranicznej swej poczciwości zniósłby coś podobnego? Jaki naród zaprawdę zniósłby cierpliwie fakt, że ster jego polityki zagranicznej — *to be or not to be* — spoczywa nie w twardej dłoni doświadczonego męża stanu, dbającego przede wszystkim o przyszłość — a w rękę domorosłego geniusza, ministra z nieprawdziwego zdarzenia, takiego sobie pana, śrubującego się wgórę, trzymającego się kurczowo posady — muchomora z Wierzbowej, zezującego wodatku ku apartamentom na Zamku. Tłum snobów, tłum pośledniejszych podpanków i podhrabków wisiał u jego klamki. Jeden pisał fantastyczne raporty, twierdząc, że lada dzień wybuchnie rewolucja w Paryżu i zyskiwał tem fawory szefa, lubiącego ogromnie, gdy przedstawiano mu Francję w czarnych kolorach. Tenże wielki dyplomata pisywał w międzyczasie broszury pt. »Polska-mocarstwem« — i pakował do nich, prócz wazeliny, stare fotografie z okresu wojny poprzedniej. Inny miał w rękę monopol spraw personalnych i rezerwował lepsze kąski dla koterji — ten miał biura podróży i cały wachlarz niedoli emigranckiej w dłoni — tamten kombinował w osadnictwie brazylijskiem — ów nienawidził Moskwę, czulił się z Niemcami i wygrywał pokrewieństwa z domem, panującym szczęśliwie na Zamku, w Tokio, czy Brukseli... A po ogromnym, kilka eskadr lotniczych kosztującym gmachu płątało się, wśród uprzywilejowanych, sporo zacnych ludzi, pobierających skromne pensyjki, pracujących rzetelnie i dochodzących do zgoła pesymistycznych wniosków. Referaty ich szły ad acta i nie miały najmniejszego wpływu na bieg wypadków.

Jednem słowem — wedle stawu grobla. Jaki Bonaparte — taki Talleyrand.

Oscylujący dziś między dawnymi a nowymi czasy p. ex-poseł Mackiewicz dość słusznie naświetla w swej książce niektóre z pośród błędów polityki p. Becka. Robi to jednak trochę zapóźno — zapomina o własnych — i nie mówi o tych, którzy ów całokształt zakłamania tolerowali. Nie może powiedzieć kłującej w oczy prawdy, gdyż sam należał do grupy, ciągnącej rydwan, bądź czepiającej się owego rydwanu. To trudno — Reytanem nie był. Okazał się li tylko malkontentem z Berezy.

Ale jak tam z tą Berezą było? P. Mackiewicz tak długo był chwalcą Brześcia, póki sam osobiście się nie przekonał, podczas pobytu w Berezie, jak wygląda druga strona urzędowej prawdy. Gwoli ścisłości historycznej dodać należy, że istnieją dostateczne dowody, by stwierdzić, że p. Mackiewicz traktowany był w Berezie wyjątkowo poprawnie, gdyż poza odosobnieniem nie stosowano do niego żadnych, nawet »normalnych« szykan. Świadczy o tem protokół zeznań b. komendanta głównego Policji Państwowej gen. Zamorskiego, złożony przed Komisją Badawczą w Bukareszcie, w którym generał stwierdza, iż na prośbę dwóch ziemian wileńskich wydał z pominięciem dyrektora departamentu Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i Kostka-Biernackiego odpowiednie dyspozycje w tej sprawie podległym sobie organom. Jednym z tych, którym p. Mackiewicz zawdzięcza łaskawe względy w Berezie był śp. Jan Tyszkiewicz — nazwisko drugiego wypadło memu informatorowi z pamięci — zdaje mu się, że był nim jeden z członków rodziny x. Sapienhów.

Jeżeli chodzi o karkołomność ewolucji poglądów ex-redaktora wileńskiego »Słowa« na niektóre kapitalne zagadnienia polskiej rzeczywistości przedwrześniowej,

to ciekawa jest wersja następująca : nietylko poglądy jego na Brześć i Berezę uledez miały zmianie pod wpływem zawodów osobistych : opozycja jego do Becka nie wiąże się z *meritum* polityki MSZ., lecz z faktem, że Beck w swoim czasie nie przyjął p. Mackiewicza, kiedy ten zgłosił się do niego ze swoim »genialnym« planem dogadania się z Niemcami przez oddanie im Gdańska. Plan ten zresztą p. Mackiewicz w swej książce ujawnia. I jak tu, *per analogiam*, nie połączyć dwóch nazwisk — Mackiewicz i Marcel Déat, pod znakiem trującego sarkazmu »mourir pour Dantsick«...

A skoro tu już mowa o francuskich Quislingach — to można sobie pozwolić na wkroczenie w sferę legendy i zapytać — chociażby się nie otrzymało nawet konkretnej odpowiedzi — czy prawdą jest, że pewien »polityk« w Libourne usiłował przekonać pewne czynniki, że Pan Prezydent powinienby raczej niewyjeżdżać do Wielkiej Brytanji i pozostać we Francji, celem harmonijnej współpracy z Pétain'em (a może i z Laval'em i spółką). *Si non e vero e ben trovato* — i pasuje to jak rękawiczka do interesującej nas sylwetki p. posła z BBWR i Berezty.

W rozważaniach swoich na tematy o wielkiem historjozoficznym zacięciu p. Mackiewicz wychodzi z założenia, fałszywego zgruntu i świadczącego dobitnie o jego duchowem ubóstwie. Twierdzi on, że »polityka polska jest tylko funkcją stosunku Niemiec do Rosji i Rosji do Niemiec.« Jest to przyznanie się do niedołęstwa, do bezradności, do mentalności korka na fali, do psychiki wyzwoleńca, wyzutego doszczętnie z poczucia narodowej dumy, czującego jeszcze blizny niewolnictwa i liczącego się jedynie z faktem, że expansionowie, ex właściciele »dusz« pańszczyźnianych są gdzieś jeszcze za płotem. Strzeż nas panie Boże od Felicjanow Dulskich, przywdziewających na się szaty »hamletów szczigrowskiego powiatu«, odważających się

zabierać głos i sięgać po władzę w chwili konjunkturnego natchnienia. Strzeż nas Panie Boże od »wyzwoleńców na forum«. Z dwójga złego wolę już Zebrzydowskich i Piłsudskich. Ci się przynajmniej przed nikim nie płaszczyli. Nie byli gośćmi z hotelu »zur Wanze«.

»Dzieło« p. Mackiewicza jest czemś dziwnie niezrównoważeniem. Zdarzają mu się, jak Papkinowi, powiedzonka zupełnie słuszne — jak np. uwagi o takich paradoksalnych osobistościach z ponurej anegdoty, jak Jędrzejewicze i Sławoje Składkowsy — aczkolwiek, w gruncie rzeczy, owa »Historja« 1918-39 jest właściwie drugim tomem osławionych »strzępów meldunków«, jak to słusznie zauważył jeden z krytyków w swojej niezmiernie pobłażliwej zresztą recenzji.

Do zagadnienia Konstytucji i do pojęć prawnych wogóle odnosi się p. Mackiewicz w sposób zgoła niezrozumiały. Pisze on : »wołając o ustalenie Konstytucji w sposób nielegalny, powodowałem się tęsknotą do prawa«. Zapewne, bywały konstytucje, wywodzące się z przewrotu rewolucyjnego — a jednak konia z rzędem temu, kto zrozumie podobne nastawienie w ustach konserwatysty i monarchisty, afiszującego swoje poglądy. Zwłaszcza, że autor tych słów dążył wyraźnie w Polsce do zrobienia kariery, wysuwał się naprzód, jak wysuwa się dziś pod hasłem »k.w.d.« — i niewątpliwie przyjąłby jakieś krzesło drażkowe, jakiś podsekretarjaciak poczt i telegrafów, gdyby mu to uprzejmie zaproponowano. Dziś też ma ochotę błysnąć przynajmniej inteligencją i zwrócić na siebie uwagę. Niestety — ale tylko dla niego, a chwalić Boga z innych względów — właśnie tą książką zamknął sobie dalszą drogę, gdyż pokazał się w świetle istotnym i dowiódł czarno na białem, że nie wszedł do Rady Narodowej dzięki swym walorom intelektualnym, a li tylko jako cierpiętnik z Berezy, jako ofiara poprzedniego reżimu, którego sam

był zresztą pięknym filarem. Nie pomoże mu nawet fakt, że złożył szereg ukłonów w stronę p. Gen. Sikorskiego, Frontu Morges, a specjalnie pod adresem p. Min. Strońskiego, i że srodze nawymyślał swym zgranym, a więc niepotrzebnym już protektorem wczorajszym, Beckom, Sławojom i innym Sykonidom ponurej idylli przedwojennej. Pieczeń swoją popsuł na amen owym specyficznym sosem egocentrycznego samouwielbienia i tej naiwnej szczerości, z którą przyznaje się do swych »tęsknot do prawa« i tęsknot do odgrywania roli na forum. Nie na miarę Fidjasa to wszystko — kiepski, liberyjny drelich, przy którym stara czamara Maćka nad Maćkami wygląda na strój senatorski. A skoro sięgamy tu do porównań literackich — to przychodzi do głowy reminiscencja jeszcze wymowniejsza : Kiemlicz, obserwujący Kuklinowskiego na desce i trochę się nad koleżką znęcający chwilami. *Nux vomica*.

Bukiecik ten byłby niekompletny, gdybyśmy przeoczyli pewien wymowny fakt :

We wrześniu 1938 roku, w przeddzień Monachium opinia publiczna była wzburzona do głębi planami p. Becka w stosunku do Czechosłowacji. Orjentując się w tym kompleksie zbrodniczej głupoty i pragnąc zbudzić zdrowy oddźwięk w narodzie, Zdzisław X. Lubomirski zwołał prywatne zebranie przedstawicieli różnych odłamów politycznych — na którym, m. in. Stronnictwo Ludowe reprezentowane było przez śp. Marsz. Rataja, Stron. Narodowe przez prof. Rybarskiego, PPS. przez śp. Niedziałkowskiego, Stron. Pracy przez Min. Popiela, etc. Było również kilku czołowych pilsudczyków.

Pierwszem i jedynem pismem, które za-denuncjowało to prywatne zebranie było wileńskie »Słowo« p. Mackiewicza, pomawiające X. Zdzisława i zebranych o zdradę stanu. Fakt ten sam w sobie jest dostatecznie wymowny, a cóż dopiero, jeżeli dokonany został w stosunku do dobrodzieja —

albowiem zanotować należy, że X. Lubomirski, konserwatysta z przekonań, dawał na »Słowo« pieniądze. Sfery rządowe zaczęły wówczas bojkotować Zdzisława Lubomirskiego, zacnego i nieskazitelnego człowieka, w którym tyle razy odzywało się sumienie narodowe Polski. W kuluarach MSZ. zastanawiano się nawet, czy nie należy wytoczyć X. Zdzisławowi procesu o zdradę stanu, tj. o sprzeciwianie się karkołomnym pomysłom Becka, sprzecznym i z ideą Polski i z całą linią ideologiczną dziejów naszego Narodu.

Echem tej sprawy było zamknięcie »Nowej Rzeczypospolitej«, redagowanej przez p. Karola Popiela i X. Prałata Kaczyńskiego, na skutek zaatakowania Becka i Mackiewicza na łamach tego pisma.

Gdy p. Mackiewicz przestał być posłem, stał się nagle opozycjonistą i powędrował do Berezy za wtrącanie się do spraw wojskowych. Wówczas Syndykat Dziennikarzy postanowił ująć się za nim. Tymczasem zjawił się na posiedzeniu jeden z urzędników MSWewn. i przedstawił list Mackiewicza do Składkowskiego, pisany z Berezy. Błagał on w tym liście i zaklinał premjera, by raczył wybaczyć mu winy i wypuścić na wolność, za co obiecywał złamać pióro, siedzieć cicho, czy też wyjechać zagranicę etc. Obrzydzenie, wywołane tym listem, powstrzymało Syndykat od interwencji.

Nawiasem mówiąc, żaden z dziennikarzy polskich, katowanych naprawdę w obozach koncentracyjnych, niemieckich, czy sowieckich, nie poniżył się do podobnego skomlenia.

Pragnąc skończyć z charakterystyką owego »działacza« i »moralizatora« — zanotujmy ogłoszoną przez p. Arkę Bożka rewelację o wywiadzie p. Mackiewicza, udzielonym przed wojną w Niemczech — gdzie twierdził on, że mniejszościom polskim w Niemczech dzieje się lepiej, aniżeli mniejszościom niemieckim w Polsce!!!

Nic dziwnego, że gdy taki człowiek, jak p. Maciewicz przywdziewa togę moralizatora i ośmiela się atakować z prywatnej kazalnicy wszystkich i wszystko — to wychodzi *nux vomica*.

*

* *

Zaznaczyłem już wyżej, że cała książka p. Maciewicza jest próbą nowego zastrzyku legendy majowej, próbą uzasadnienia, że ów maj był rzekomo potrzebny Polsce, że wywołał podziw narodu, etc. — bo przecież pogrzeb śp. Józefa Piłsudskiego był wspólnie poważny i wielki.

Argument złudny. Śmierć w katolickiej Polsce otoczona jest zawsze nimbem tajemniczej wielkości. Śmierć jest momentem, w którym po chrześcijańsku przebacza się winy, chociaż serce o nich zapomnieć nie może, a Nemesis dziejowa czuwa, jak czarny anioł nad grobem.

Pogrzeb ten, pogrzeb państwowy, pogrzeb wawelski, był symbolem wielkości Państwa Polskiego, a nie dowodem uwielbienia jednostki przez naród. Był dowodem szacunku dla buławy, dla wskrzeszonej buławy, był dowodem tej miłości, tej aureoli, którą otoczone jest w narodzie naszym Wojsko Polskie.

Zamknął się krwawy, tragiczny okres dziejowy. Przeszliśmy już do porządku nad tem co było. »Z żywymi naprzód iść i życie tworzyć nowe.« Przepelnia nas troska — co będzie? Jeśli czasami do tej niedawnej przeszłości wracamy, to poto, by z jej doświadczeń wyciągnąć wskazania na przyszłość i uniknąć błędów. Podchodzimy do tej przeszłości spokojnie, z dużą dozą smutku ale i z twardym zamiarem niegrzebania się w grzeźawiskach.

Z legenda majową trzeba skończyć. »Srebrne dzwony« na wieży dawno umilkły. Nie wskrzesiło ich radio. I nie wskrzesi ich magia nieopatrznego słowa, wymówionego w mrokach nocy posępnej. Oby na te inwokacje niewczesne nie odpowiedziały z bratnich mogił upiory.

Nie prowokować. Nie drażnić. I poco, tu, na obyczajnie, stwarzać takie sytuacje, by ludzie, oburzeni do żywego wywodami w stylu panów Mackiewiczów, zmuszani byli do oświadczenia wręcz, że legenda była fałszywa i że czas wreszcie złożyć ją ad acta, na zawsze.

Poco, zapytuję, poco to wszystko? Poco p. Mackiewicz wywołuje upiory? Przecież, bez tej jego książki niktby o nich nie mówił. A teraz, zmąciwszy narodową kadełkę, podjudza dalej i pisze w »Wiadomościach Polskich«, że całe tomy ludzie pisać będą, by polemizować z jego niedorzeczną »Historją«.

Polemizować? Co za pewność siebie! Niema tu żadnej polemiki. Chodzi poprostu o przygwożdżenie fałszerstwa.

Niejeden tom, niejedną setkę tomów napiszą jeszcze historycy II Rzeczypospolitej — ale żaden z nich, napewno, nie potraktuje omawianej tu książki jako źródła do pisania dziejów. Chyba advocatus diaboli, czy rozjuszony satyryk weźmie tę ramotę do ręki, by wynaleźć w niej perły moral insanity, chabry kwitnienia duchowego pana posła-redaktora-radnego, niedoszłego ministra.

Jedna jest, jedyna poważna strona omawianego tu zjawiska: niebezpieczeństwo przełożenia książki p. Mackiewicza na angielski. Oby się z tem nie wyrwał — czy autor — czy jakiś Filip z konopi — czy ktoś najserdeczniejszy, pragnący sprawie polskiej oddać niedźwiedzią przysługę. Przecież ktoś obcy mógłby w te pseudohistoryczne wywody naiwnie uwierzyć. Taki

gruby tom ! I ten komentarz zwłaszcza : członek Rady Narodowej, w której zasiadało tylu poważnych ludzi, której Prezesem był śp. Ignacy Paderewski...

Tyle o meritum książki. I jeszcze jedno : poco p. Mackiewicz demagogicznie roztkliwia naiwnych, poco drukuje na str. 228 słowa następujące : »z tej ławki Piłsudski pisał na Zjazd Legionistów, że w tafli jeziora... widzi oczy dziecka.«

Czy oczy dziecka jednego z tych poległych, którzy, wiadomo z czyjej winy, zginęli Bóg wie poco w pamiętnym maju 1926 roku ?

*
* *

Jakżeż dobitnie brzmią tu słowa śp. Prezydenta Paderewskiego, który, zapytany ongiś przez śp. Ambadora Chłapowskiego, czy wróci do ówczesnej Polski, oświadczył, że nie, gdyż musiałby uściśnąć zbyt wiele brudnych, skrwawionych rąk.

Słowa te powtórzył i mnie w lutym 1934 roku.

PRINTED IN GREAT BRITAIN AT
THE PRESS OF THE PUBLISHERS

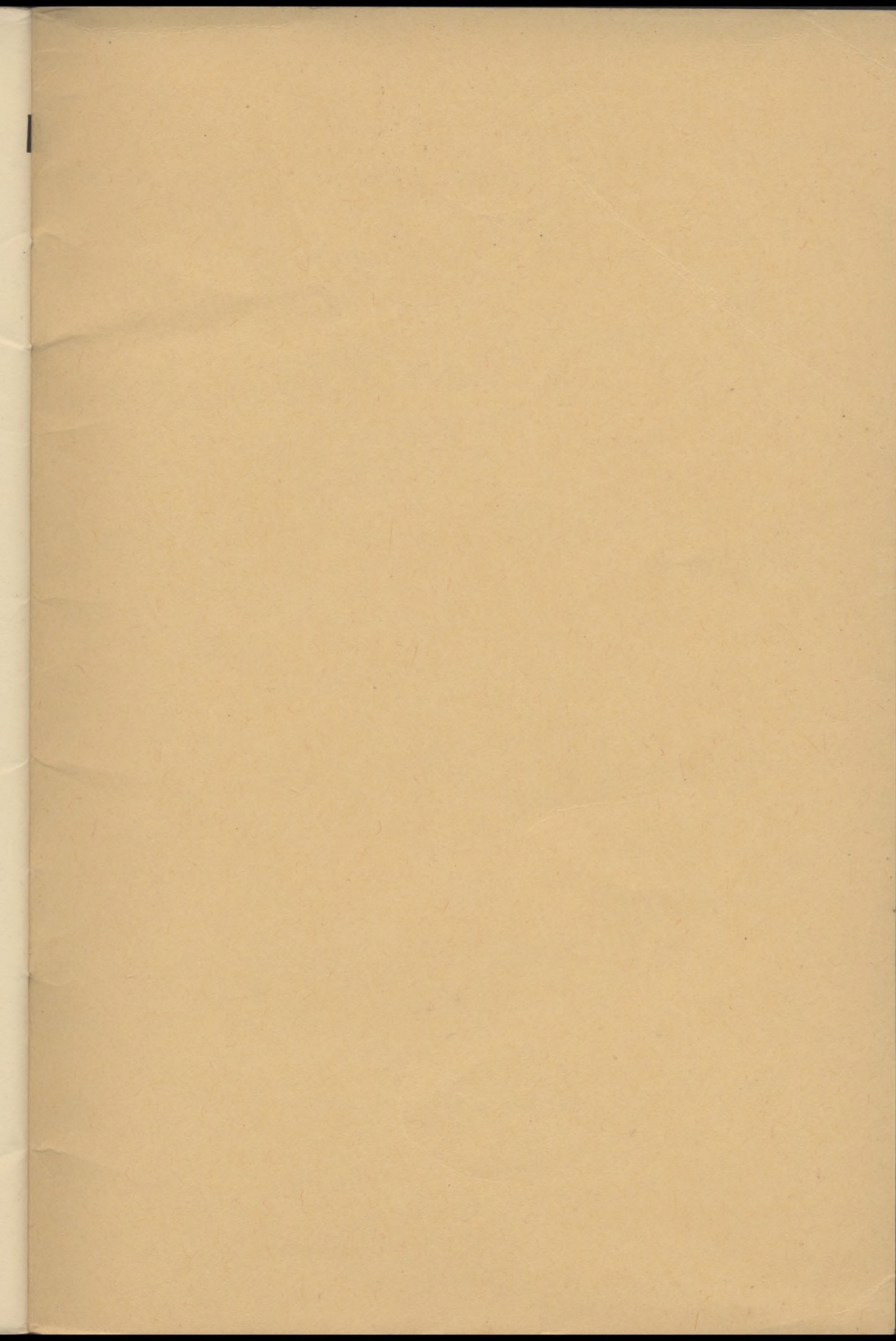
32

Biblioteka Główna UMK



300051141382

BIBLIOTEKA
UNIWERSYTECKA
w Toruniu



Arch. Emigracji
Biblioteka

Główna
UMK Toruń

1380464

Biblioteka Główna UMK



300051141382

Price 1/6 net